

III RAJD ROWEROWY PTTK 3 – 12 lipca 2010r.

Już po raz trzeci mieliśmy okazję wyruszyć w barwach myśłowickiego PTTK na rajd rowerowy, tym razem na Dolny Śląsk. Doskonale zaplanowana przez prezesa myśłowickiego oddziału PTTK Zbigniewa Orłowskiego trasa wydawała się trudna, ale niesamowicie interesująca. Ośmiu śmiazków podjęło to wyzwanie. W naszej ekipie znaleźli się: Beata Godek, Wiesława Katan, Grażyna Milewska, Edyta Szoen, Marcin Spiegel, Rafał Bugła, Zbigniew Orłowski i Michał Domżał. Po dokonaniu niezbędnych ustaleń, wymianie rajdowych doświadczeń i podziale koniecznych do zabrania akcesoriów rowerowych byliśmy gotowi do drogi. W końcu nadszedł wyczekiwany dzień wyjazdu. Żądni przygód ruszamy odkrywać tajemnice bocznych dróg Dolnego Śląska...

Dzień I – 3 lipiec 2010r.

75 km na dobry początek...

Niecierpliwa i żądna przygód ósemka turystów rowerowych spotkała się na myśłowickim dworcu o 10.00. Kierunek Wrocław, przyjazd pociągu planowany był na 10.32. Ku naszemu zdziwieniu pociąg przyjechał jakieś 15 minut za wcześnie. Za to pośpieszny, który miał już dawno odjechać przyjechał z półgodzinnym opóźnieniem, co spowodowało nie lada zamieszanie wśród podróżnych. W konsekwencji posiadacze biletów na opóźniony pośpieszny musieli dodatkowo zakupić bilety na nasz „zwykły” pociąg. Z resztą z zakupem biletów od początku nie było łatwo. Mimo, że zamówione zostały z miesięcznym wyprzedzeniem, to i tak nasz przewodnik odsyłany z miejsca w miejsce musiał „odpokutować” swoje cztery godziny w kolejce. Cóż, takie uroki polskich kolei...

Ale nie zrażajmy się! Tego dnia chyba nic nie było w stanie popsuć nam humoru, nawet „zaledwie” godzinne opóźnienie we Wrocławiu... Na szczęście kolejne kilkadziesiąt kilometrów pokonamy własnymi siłami, więc żadnych opóźnień nie będzie. Zatem w drogę!

Piękny wrocławski dworzec był cały w przebudowie, więc niewiele udało nam się dostrzec. Bez większych problemów udało się wyjechać z miasta – plus dla Wrocławia za dobre ścieżki rowerowe. Kierunek – zachód. Po bezkonfliktowym przejechaniu autostrady A4 ruszyliśmy w kierunku południowym w stronę świętej góry Ślązaków – Ślęży. Po drodze w Rogowie Sobóckim fotografowaliśmy się przy średniowiecznym pręgierzu oraz krzyżu pokutnym, których potem widzieliśmy wiele. Kolejny przystanek - Sobótka – najważniejsze miasto Masywu Ślęży. Widzieliśmy prastawiańskie rzeźby kultowe przy kościele św. Anny oraz romańskie lwy. Kościoły św. Anny i św. Łukasza zobaczyliśmy przez „dziurkę od klucza”, bo niestety oba były zamknięte, podobnie jak Muzeum Ślązańskie. Wyjeżdżając z Sobótki na zachód przejechaliśmy po raz pierwszy obok krainy kamieniołomów. W Strzelcach liczyliśmy na zwiedzenie gotyckiego kościoła z cennymi polichromiami, ale znów było zamknięte... Wjechaliśmy na Równinę Świdnicką naszpikowaną arcyciekawymi zabytkami. Zwiedzaliśmy pałac – hotel w Kraskowie z bajkowym ogrodem i koniem

skaczącym z balkonu. Piękny ogród założył królewski ogrodnik Lenné. Następnie zwiedzaliśmy gotycki kościół z pręgierzem w Śmiałowicach. Widzieliśmy ruinę pałacu w Pankowie. W Wierzbnej napotkaliśmy zespół klaszorny Cystersów. Kościół był jak zwykle zamknięty, choć według miejscowych można do niego wejść podziemnymi przejściami wśród ruin zabudowań klasztornych. Jednak nie mieliśmy za dużo czasu na takie eskapady. Naszą uwagę przykuły dwie romańskie wieże kościoła – niespotykane nigdzie indziej w Polsce. Z kolei w ogrodzie pałacu opata znajduje się pięć krzyży pokutnych – taka ilość w jednym miejscu także jest rzadkością. Dalej na naszym szlaku zobaczyliśmy pałac w Wiśniowej i tak zwany Pałac na wodzie w Bagieńcu. Tam dowiedzieliśmy się, że polsko-turecka koalicja piłkarzy pod sztandarem niemieckim wygrała z Argentyną 4:0. Z Bagieńca dojechaliśmy do Jaworzyny Śląskiej na pierwszy nocleg. Na zegarze była 21.00. Kontynuując pięknie rozpoczęty dzień pojechaliśmy na imprezę, gdzie królowała nieśmiertelna muzyka disco-polo. Przy dźwiękach „Jesteś szalona” zjedliśmy kolację. Około 22.30 zajechaliśmy na kwatery, gdzie udaliśmy się na zasłużony odpoczynek.

Dzień II – 4 lipiec 2010r.

55 km po mocno pofałdowanym terenie...

Rozpoczęliśmy od zwiedzania Muzeum przemysłu i kolejnictwa na Śląsku w Jaworzynie Śląskiej. Jak na kolej przystało przewodnik spóźnił się jakieś pół godziny. Obejrzelśmy skansen taboru kolejowego oraz wystawy maszyn i urządzeń technicznych. W skansenie znajduje się także muzeum motocykli legendarnej marki Harley – Davidson – piękne maszyny... Wśród wystaw znalazła się także taka poświęcona zabawkom – niektórzy wśród eksponatów odnajdywali zabawki swoich marzeń. Naszych chłopców najbardziej zainteresowała sporych rozmiarów (4m x 2m) makieta modeli terenowych kolejek sterowana elektrycznie.

Z Jaworzyny pojechaliśmy do Piotrowic Świdnickich, gdzie znajduje się cenny gotycki kościół – jak zwykle zamknięty, mimo niedzieli. Napotkaliśmy też pałac na wodzie, niestety bez wody... Następny przystanek zrobiliśmy w uprzemysłowionej miejscowości Żarów, gdzie spełniliśmy obywatelski obowiązek głosując na prezydenta RP. Niestety z powodu braku legitymacji prasowej nie pozwolono nam zrobić sobie VIP-owskiej fotki przy wrzucaniu głosów do urny... Z Żarowa udaliśmy się do miejscowości Łażany, gdzie był pierwszy w Europie żeliwny most odlany w Gliwickiej hucie w 1973r. Niestety mostu nie zobaczyliśmy – podobno jest w remoncie. Dalej pojechaliśmy do stolicy polskiego granitu – Strzegomia. Tu zwiedziliśmy jedną z największych gotyckich budowli sakralnych na Śląsku, zbudowaną z kamiennych bloków Bazylikę Świętych Piotra i Pawła. Wśród bogato zdobionych tympanonów zauważyliśmy... piłkę do siatkówki. Tympanony są niezwykłymi dziełami sztuki...

Przejechaliśmy przez krainę niezliczonych kamieniołomów granitu do byłego obozu koncentracyjnego Gross - Rosen w Rogoźnicy. Wśród wystawionych tam dokumentów znaleźliśmy list pisany do obozu do Zbigniewa Potempy przez żonę nadany z Mysłowic z ulicy Katowickiej. Z Rogoźnicy wjechaliśmy do doliny Nysy Szalonej. Jadąc drogą wzdłuż jej biegu, ale pod prąd, dojechaliśmy do miejscowości Świny na kolejny nocleg. Tu okazało się, że właściciele ośrodka Camping „Pod

Lasem" są z Sosnowca, a szef jest byłym uczniem jednej z uczestniczek naszego rajdu. Jakież było nasze zdziwienie, kiedy szef podszedł do jednej z naszych koleżanek i powiedział: „Pani mnie nie poznaje? Pani mnie uczyła...”. Po fantastycznym swojskim obiadku i krótkim odpoczynku pojechaliśmy do Bolkowa. Zwiedziliśmy zamek oraz sympatyczny rynek. Po powrocie do ośrodka czekała nas kolejna niespodzianka. Gospodarz poczęstował nas winem własnej produkcji „Camping Pod Lasem”.

Dzień III – 5 lipiec 2010r.

65km, z czego 60 pod górkę...

Rozpoczęliśmy zwiedzanie od jednego z najstarszych w Polsce wczesnośredniowiecznego zamku w Świnach z zachowaną wieżą rycerską. Była to siedziba rodziny Świnków, z której pochodziło wielu znakomitych Polaków, między innymi prymas Jakub Świnka. Dowiedzieliśmy się, że ruiny zespołu zamkowego kupił prywatny inwestor z Polski, który ma zamiar wybudować tam kompleks hotelowy na 300 pokoi z zachowaniem średniowiecznego klimatu. Pokazano nam makiety tego przedsięwzięcia.

Następnie zaczęło się katorżnicze wyzwanie – niesamowita góra, w pewnym momencie nawet skończył się asfalt, więc dość zgodnie zaczęliśmy prowadzić rowery. Upał dawał się we znaki. Jedyłą korzyścią było szybkie wyschnięcie prania, które nie zdążyło wyschnąć nocą - porozwieszane na rowerkach było suche w pół godziny.

W końcu władowaliśmy się na drogę do Jeleniej Góry i znów, co najmniej połowa drogi była pod górkę (według niektórych nawet 70%). Przekraczaliśmy Góry Kaczawskie. Zjeżdżając do Kotliny Jeleniogórskiej testowaliśmy szybkościowo nasze rowery – maksymalną prędkość osiągnął Michał – 65,9 km/h. Pełni nadziei na zwiedzanie zabytków Jeleniej Góry zostaliśmy wciągnięci w poszukiwanie Grobu Wandala i średniowiecznej cembrowiny – dla nas istny survival – trzykrotnie przeprowaliśmy się przez górskie potoki, a leśna droga nie nadawała się nawet na kłady. Kilkakrotnie próbowaliśmy pytać miejscowych o drogę, ale oni też nie mieli pojęcia gdzie to jest. Zjechaliśmy do Jeleniej Góry. Zwiedziliśmy najciekawszy zabytek tej miejscowości – tak zwany Kościół Łaski p.w. Podwyższenia Krzyża Świętego. Byliśmy zachwyceni jego wyposażeniem – dziełami artystów z pierwszej połowy XVIII w. Potem przededefiladowaliśmy ulicą 1-go Maja – główną ulicą Jeleniej Góry, która jest naszpikowana zabytkami. Mijaliśmy cerkiew, która od 1945r. jest kościołem katolickim, średniowieczną Bramę Wojanowską z kaplicą Św. Anny i jeden z najpiękniejszych rynków Dolnego Śląska z intrygującą fontanną z Neptunem. Neptun w tej podgórskiej miejscowości symbolizował kontakty kupców z krajami zamorskimi. Poszliśmy na kawę do prawdziwej kawiarni. Spośród wielu gatunków kawy z różnych stron świata wybraliśmy sumatrzańską – z największą ilością kofeiny.

Ze starówki jeleniogórskiej pod górkę 10 km i z góry 2 km i już byliśmy przy średniowiecznej wieży w Siedlęcinie. Zwiedziliśmy ten niezwykle w skali naszego kraju zabytek z najstarszymi polichromiami niesakralnymi. Niestety wyjazd z Siedlęcina też

okazał się matką Golgotą, ale po przejechaniu 5 km rozpoczął się długi zjazd aż do samego Wlenia. Na tym odcinku jechaliśmy wzdłuż malowniczego Jeziora Pilchowickiego utworzonego przez wybudowanie zapory na Bobrze w 1912r., którą zwiedzaliśmy. W szczególnie romantycznym miejscu, jakim była stacyjka kolejowa jednej z najpiękniejszych linii kolejowych Dolnego Śląska Lwówek – Jelenia Góra robiliśmy zdjęcia na tle wschodniej części Karkonoszy i tafli jeziora. Dojechaliśmy do starej piastowskiej miejscowości Wleń, która swoje prawa miejskie ma od 1214r. (wcześniej niż Kraków!) – jest jednym z najstarszych miast w Polsce. Pozostałością z tego okresu jest zamek. Wzgórze, na którym są położone zamek, gotycki kościół Św. Jadwigi i barokowy pałac, objęte jest ochroną w ramach rezerwatu przyrody. Znajdują się tam także niezwykle krzyże pokutne.

Mimo ogólnego zmęczenia po przyjeździe do miejsca noclegu dwie nasze koleżanki wybrały się pobiegać, a dwaj koledzy pojeździć na rowerach – a podobno to był ciężki dzień!

Dzień IV - 6 lipiec 2010r.

65 km między kropelkami deszczu...

Zamek we Wleń postanowiliśmy zdobyć leśną ścieżką chcąc zobaczyć jedyny w swoim rodzaju krzyż pokutny z wrytymi dwoma narzędziami zbrodni – mieczem i toporem. Nasza ciekawość kosztowała nas bardzo wiele, bo podejście okazało się niezwykle ostre. Dotarliśmy na wierzchołek i zobaczyliśmy robotników, wcale nie średniowiecznych, odbudowujących mury zamkowe. Uparcie chcieliśmy się dostać na wieżę zamkową, widok z której miał zrekompensować trudy wspinaczki. Na przeszkodzie stał kierownik budowy, który na nasze szczęście gdzieś się zapodział, a grupa archeologów pod wodzą profesora z Uniwersytetu Wrocławskiego nie zabroniła nam wejścia na wieżę. Widok był wspaniały. Widzieliśmy Pogórze Izerskie, Kaczawskie, wiele kopułek dawnych wygasłych wulkanów z najwyższym z nich – Ostrzycą Proboszczowicką zwaną Śląską Fudżijamą. Po zwiedzeniu zamku przeszliśmy do barokowego pałacu, którego właściciel – Belg z przywoitą polszczyzną przyjął nas po staropolsku. W pałacowej kawiarence zrobiliśmy sobie mały odpoczynek. Okazało się, że pani podająca nam kawę ma rodzinę na osiedlu policyjnym w Mysłowicach.

Zjechaliśmy z góry drogą dojazdową do zamku. Zrobiło się zimno i zaczął padać deszcz. W tych warunkach dojechaliśmy do Lwówka Śląskiego. Zwiedziliśmy Ratusz z lochem głodowym, muzeum regionalnym i przepiękną salą ślubów. Jako pierwsi zwiedzaliśmy browar w Lwówku (nasz przewodnik załatwił to z właścicielem), który dopiero jest przygotowywany do udostępnienia turystom. Po obejrzeniu browaru degustowaliśmy na schodach piwo z pierwszej, limitowanej partii. Następnie pojechaliśmy do kościoła farnego, gdzie niestety wydawało się, że nie wejdziemy z powodu remontu. Jednak i na to znalazł się sposób – nasi panowie w zamian za możliwość obejrzenia wnętrza kościoła pomogli robotnikom wynosić deski z rusztowania. W końcu weszliśmy do środka, gdzie mogliśmy zobaczyć gotycką kamieniarkę.

Mieliśmy jechać do Lubomierza, gdzie znajduje się Muzeum Kargula i Pawlaka, ale z powodu zimna i deszczu chcieliśmy uciec do miasta żeby wyschnąć i zjeść coś ciepłego, więc pojechaliśmy do Gryfowa. W parafii św. Jadwigi ksiądz proboszcz osobiście pokazał nam kościół, w którym znajduje się niezwykle cenne epitafium rodziny Schaffgotschów.

Kolejnym punktem na naszej mapie był Lubań oddalony o 20km. Na rowerach przejechaliśmy obok najważniejszych zabytków miasta. Po przekroczeniu Kwisy znaleźliśmy się na Łużycach. W położonym w odległości 10km Nawojowie Łużyckim spaliśmy w prawdziwym przedwojennym banerowskim gospodarstwie, dziś zwanym agroturystyką. W bramie powitał nas sympatyczny kundelek Gucio, a gospodyni zaprosiła na pyszne jedzonko z grilla. Mimo zaciętych komarów długo rozkoszowaliśmy się kolacją i miłym otoczeniem.

Dzień V – 7 lipiec 2010r.

70 km „dzień najstarszych”...

Na śniadanie zjedliśmy najtańszą jajecznicę świata – dla każdego 1,80 zł – ze swojskich jajek, ze skwarkami, cebulką, chlebem – taniej i pyszniej nie byłoby nawet w domu.

Pojechaliśmy do Henrykowa Lubańskiego – 16 km ciągle pod górę – zobaczyć najstarsze drzewo w Polsce – cis, który ma co najmniej 1200 lat. Zapowiadał się „dzień najstarszych”, ale o tym później.

Od cisu wróciliśmy do Lubania, gdzie dwie zatrudnione w tamtejszym PTTK panie nic nie wiedziały o okolicy, zresztą podobnie było w punkcie informacji turystycznej. Pojechaliśmy do Platerówki zdani na łut szczęścia i wiadomości naszego przewodnika. Dzięki uprzejmości pani sekretarz gminy otworzono nam w sezonie wakacyjnym szkołę, w której znajduje się izba pamięci kobiecego batalionu im. Emilii Plater. Batalion powstał w obozie Siedleckim nad Oką w czerwcu 1943r. Po zakończeniu działań II wojny światowej Platerówki zostały osiedlone w miejscowości Zalipie Dolne, której nazwa została w 1962r. urzędowo zmieniona na Platerówka. W oparciu o niektóre wątki z życia Platerówek nakręcono w latach 50-tych wspaniałą komedię „Rzeczpospolita babska”. Jednak my chcieliśmy wiedzieć ile jeszcze Platerówek żyje. Udało nam się ustalić miejsce zamieszkania najstarszej z nich 98-letniej Genowefy Grycner. Przyjęto nas tam bardzo ciepło, pani Genowefa odpowiadała na nasze liczne pytania w sposób rzeczowy, zwięzły i sympatyczny. Dostaliśmy zaszczytu wspólnego sфотографowania się. To była kolejna niestandardowa przygoda na naszym rajdzie.

Z Zalipia pojechaliśmy do Leśnej. Tam mieliśmy okazję zaobserwować pozytywne nastawienie mieszkańców do turystów rowerowych. Kiedy pewien pijany pan zaczął być wobec nas agresywny, natychmiast został powstrzymany przez swoich kompanów słowami „Ty, ale rowerzystów nie tykaj”. Z Leśnej pojechaliśmy do Zamku Czocha, w którym kręcono filmy „Gdzie jest generał?”, „Wiedźmin”, „Tajemnica

twierdzy szyfrów", „Hrabina Cosel". Największe wrażenie zrobiło na nas łoże z zapadnią, poznaliśmy tajemne przejścia przez szafy, podziwialiśmy widoki z wieży zamkowej.

Z Zamku Czocha mocno pofałdowanym terenem pojechaliśmy przez Złotniki Lubańskie – wymarłe miasteczko, które kwitło w XVI w., a rozwinęło się dzięki eksploatacji złota, jednak po 50-ciu latach upadło. Dziś pozostała wioska, która ma swoisty rynek. Za Złotnikami była wielka góra, a na niej rozciągała się panorama całych Sudetów Zachodnich. Była cudna widoczność. Zobaczyliśmy Pogórze Kaczawskie, Izerskie, Góry Izerskie, Karkonosze, Rudawy Janowskie i Góry Kaczawskie. Przez Giebułtów, Mirsk dojechaliśmy do Kamienia, gdzie wspólnie oglądaliśmy porażkę Niemców z Hiszpanią w schronisku młodzieżowym.

Dzień VI – 8 lipiec 2010r.

100 km – pierwsza setka!

Zaczął się najtrudniejszy dzień. Sześciokrotnie przekraczaliśmy granicę państwa, ale pokonywaliśmy też najwięcej wzniesień. Zdecydowanie najbardziej morderczy dzień. Mieliśmy do pokonania główny wał Pogórza Izerskiego. Duże wrażenie zrobił na nas czeski szlak rowerowy, który zaprowadził nas od granicy do bajkowego zamku we Frydlantcie. Zamek jest położony na wysokiej skale, ale w przeciwieństwie do zamku we Wleniu tutaj wjechaliśmy rowerami. Przyjęto nas bardzo serdecznie. Mimo drogich biletów (38zł) zdecydowaliśmy się na zwiedzanie. Nasza przewodniczka płynnie mówiła po polsku. W czasie zwiedzania w sali barokowej dwie panie grały na fletach muzykę z epoki, co zrobiło na nas olbrzymie wrażenie.

Będąc w Czechach trzeba spróbować knedlików, co też uczyniliśmy na rynku frydlantckim – od tego momentu odchudzanie stało się nierealne... A ponieważ piwa w Czechach trzeba się napić, to wzięliśmy dwa piwa na osiem osób. Z Frydlantu pod straszną górę dojechaliśmy do granicy z Polską w Bogatyni. Jadąc widzieliśmy największą kopalnię odkrywkową Turów I, Turów II. W Bogatyni po raz kolejny zetknęliśmy się z żałosnym poziomem informacji turystycznej i brakiem jakichkolwiek wydawnictw...

Pojechaliśmy na trój styk Polska – Czechy – Niemcy. Po drodze zatrzymaliśmy się przy warzywniaku, gdzie pani proponowała nam zakupy za euro. Na trój styku każdy chciał choć na chwilę być na środku trójkąta, więc większość z nas weszła niemalże na sam środek rzeki mając świadomość ważności miejsca. Potem wróciliśmy do Polski, bo niestety most na stronę niemiecką był zaspawany. W Porajowie przekroczyliśmy granicę polsko – niemiecką. Pierwszą niemiecką miejscowością był Zittau. Miejscowość jest dwujęzyczna, jej nazwa słowiańska to Żytawa. Teren ten zamieszkiwany jest przez słowiańską ludność Serbo - Łużyczan, którzy bardzo dbają o swoją autonomię. Od Żytawy jechaliśmy drogą rowerową wzdłuż Nysy Łużyckiej po stronie niemieckiej. Trzeba przyznać, że stan ich dróg rowerowych jest o wiele lepszy od naszej autostrady A4 na odcinku Brzęczkowice – Kraków. Nie zauważyliśmy tam szlaków rowerowych, a drogi rowerowe bardzo dokładnie oznakowane, których

nawierzchnia nawet na terenach leśnych była równiutko wyasfaltowana. Jechaliśmy odcinkiem ważnej niemieckiej drogi rowerowej Odra – Nysa. Spotykaliśmy wielu turystów rowerowych polskich i niemieckich. Z tymi pierwszymi rozmawialiśmy – jechali tą trasą ze Świnoujścia i podobnie jak my byli pod jej wielkim wrażeniem. Co kilka kilometrów napotykaliliśmy świetne miejsca do odpoczynku niezniszczone, niezaśmiecone, ze stojakami dla rowerów. Nawet pojawiające się objazdy spowodowane robotami drogowymi były dokładnie oznaczone.

Po wyjeździe z Zittau podziwialiśmy potężne wyrobiska polskiej kopalni węgla brunatnego Turów I, Turów II i kominy elektrowni. Nie można było nie zauważyć dużego kontrastu pomiędzy naszymi – polskimi dymiącymi metodami pozyskiwania energii z węgla brunatnego i lasem wiatraków po stronie niemieckiej. Z kolei w mijanych miasteczkach niemieckich uderzały puste mieszkania, o czym świadczyły okna bez firanek oraz puste witryny zamkniętych sklepów.

W końcu nasze „zwłoki z odpadającymi tyłkami” dojechały do Görlitz, a później Zgorzelca. Byliśmy kompletnie wykończeni trasą przez Polskę i Czechy. Pokonaliśmy wiele wzniesień, we znaki dawał się też nieznośny upał. W Zgorzelcu spaliśmy w pensjonacie, który mieścił się nad pizzerią, z czego nieomieszkaliśmy skorzystać.

Dzień VII – 9 lipiec 2010r.

72 km wychodzimy na prostą...

Rozpoczęliśmy od zwiedzania Zgorzelca. Wstąpiliśmy do Muzeum Łużyckiego, gdzie pan dyrektor wyjątkowo dla nas wyznaczył pracownika do oprowadzenia po muzeum. Dzięki temu dowiedzieliśmy się na czym polega odmiennosc budownictwa łużyckiego, którego najbardziej charakterystycznymi budowlami są tak zwane chaty łużyckie. Przekroczyliśmy Nysę po zabytkowym moście (który co prawda ma dwa lata, ale doskonale imituje średniowieczny most gotycki). Zwiedziliśmy starówkę w Görlitz. W punkcie informacji turystycznej dostaliśmy ozdobne stemple, a potem zwiedziliśmy Schlesische Museum. Między dwoma oglądanymi tego dnia muzeami była widoczna przepaść zarówno pod względem wyposażenia w eksponaty, jak i pod względem wartości merytorycznej. W muzeum w Görlitz każdy eksponat był opisany zarówno w języku niemieckim, jak i polskim, ponadto po naciśnięciu guzika można było wysłuchać prezentacji audio. Wrażenie robiła rzetelnie przedstawiona historia Śląska od zarania do czasów niemal współczesnych (Górnego Śląska także). Pojawił się również wątek myślowicki – oczywiście związany z Trójką Trzech Cesarzy, który był przedstawiony, jako wielka atrakcja turystyczna. Szkoda, że nasze miasto nie potrafi tego wykorzystać...

Spotykaliśmy się z przyjaznymi reakcjami Niemców, których bardzo zainteresowała nasza grupa. Pytali skąd jesteśmy, dokąd jedziemy, część z nich reagowała podziwem, a część przyglądała nam się z dezaprobatą. Podróż kontynuowaliśmy drogą rowerową Nysa – Odra. Mijaliśmy malownicze wsie nieprzyzwoicie uporządkowane i miasteczka wysterylizowane do granic możliwości. Żaden pies nie zaszczekał, żadnych ofiar w zwierzętach pod kołami samochodów – zupełnie inaczej

niż u nas... Oczywiście robiliśmy sobie przerwy, a na uroczym rynečku w miejscowości Rothenburg degustowaliśmy niemieckie piwo (bezalkoholowe ;)). W pewnym momencie na starym NRD-owskim składaku odważyła się nas wyprzedzić młoda Niemka, wyraźnie prowokując do wyścigu. Oczywiście podjęliśmy wyzwanie i bez większych problemów wygraliśmy tę potyczkę.

Po jakimś czasie źle oznakowany szlak wyprowadził nas na niewybudowany jeszcze most – niewątpliwie usatysfakcjonował nas fakt, że u nich też nie wszystko jest bez zarzutu... Po przekroczeniu granicy w polskiej Łęknicy uderzyła nas duża ilość agencji towarzyskich, jak głośno napisy czynnych non stop. Dojechaliśmy do hotelu Europa. Okazało się, że był naprawdę przyzwoity... Za cenę schroniskową spaliśmy w eleganckich pokojach z pełnym węzłem sanitarnym i telewizorem.

Dzień VIII – 10 lipiec 2010r.

32 km z planem na 100 km...

Kolejny dzień koszmarnego upału. Ten dzień postanowiliśmy poświęcić na zwiedzanie Parku Mużakowskiego. Jest on jednym z najznakomitszych przykładów sztuki ogrodowej XIX wieku w Europie. Swoje powstanie zawdzięcza twórcy Księżciu Hermanowi von Pücklerowi. Położony jest po obu stronach Nysy Łużyckiej, połączony romantycznym mostkiem, przy czym większa część parku znajduje się po stronie polskiej. W 1945r. podczas działań wojennych Rosjanie zniszczyli większość budowli parkowych. Od 2004 roku Park Mużakowski został wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Jak głoszą foldery park posiada około stukilometrową sieć dróg rowerowych. Zwiedzanie rozpoczęliśmy od strony polskiej. Drewniany domek, który miał być punktem informacji turystycznej odwiedzaliśmy trzykrotnie – zawsze był zamknięty, może dlatego, że to sobota... Park posiada wiele cennych okazów dendrologicznych i kilka pamiątek historycznych. Niestety zwiedzanie utrudniały nam nieoznakowane, nieczytelne ścieżki rowerowe, które w pewnym momencie wyprowadziły nas w pole uprawne i las, którego wertepami przebrnęliśmy na przetaj. Po raz pierwszy rowery przeszkadzały nam w wędrówce... Po przedostaniu się na najbliższą ścieżkę wydostaliśmy się z parku na część niemiecką. A tam dywany kwiatowe, równo przystrzyżona trawka, czytelne ścieżki rowerowe i piesze, otwarty punkt informacyjny. Po niemieckiej stronie można wyróżnić trzy części parku: Zdrojową, Górską i Zamkową. O ile dom zdrojowy czeka jeszcze na swój remont, to zamki stary i nowy są pięknie odrestaurowane. Mimo sobotnich godzin popołudniowych funkcjonowały dwa znakomicie zaopatrzone punkty informacji turystycznej obsługiwane przez wszystkowiedzące panie. Miłym zaskoczeniem był dla nas ślub, który odbywał się w tych romantycznych okolicznościach. W alejkach można było przejechać się romantyczną dorożką, powozami konnymi, była wypożyczalnia rowerów... Tylko nie wiedzieć, czemu tu wszystko się da, a u nas nie... Wjechaliśmy też do miasteczka Bad Muskau. Jak zauważyli nasi panowie, tu nie było żadnych agencji.

W sumie zrobiliśmy zaledwie 32 z planowanych 100km. Okazało się, że większość dróg rowerowych to drogi polne zniszczone przez rolników z piachem i koleinami. Byliśmy trochę rozczarowani...

Wieczorem w hotelu Europa oglądaliśmy razem z miejscowymi i sąsiadami zza rzeki zwycięski mecz Niemców o trzecie miejsce. Na sali telewizyjnej panował familijny nastrój, a nad Bad Muskau strzelały sztuczne ognie...

Dzień IX – 11 lipiec 2010r.

103km z żarem w Żarach...

Planujemy dojechać do Żagania przez Żary. Żar w Żarach sięgał zenitu. Postanowiliśmy zobaczyć Kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa, który jest w Kanonie Krajoznawczym Polski. Ma swoją niesamowitą ciekawostkę, otóż w murach zewnętrznych, przy gotyckim portalu, zauważyliśmy odciski kciuków. Był to element średniowiecznej umowy handlowej, niejako potwierdzenie rzetelności zawartego traktatu. Obaj zawierający umowę odciskali kciuk na surowej cegle, którą później oczywiście wypalano i wmurowywano w ścianę kościoła. Stąd wzięto się powiedzenie „Trzymam za Ciebie kciuki”, co w tym wypadku oznaczało „Wierzę, że dopełnisz warunków umowy”.

Widzieliśmy również bajowo piękny pałac (równie „pięknie” zniszczony), cudowny rynek z ratuszem po środku oraz ławeczką Telemanna. Z kolei na głównym deptaku napotkaliśmy dwie figury muzyków upamiętniające odbywające się w Żarach koncerty Przystanku Woodstock.

W upale udajemy się do Żagania. Wjeżdżając do miasta napotykamy koszary wojskowe. Obecnie stacjonuje tutaj 11 Lubuska Dywizja Kawalerii Pancernej im. Króla Jana III Sobieskiego. Przy jednostce znajduje się Centrum Tradycji Wojsk Pancernych. Przed Centrum jest Skwer Czołgisty, na którym ustawione są obok siebie czołgi T-34, T-55, T-72 oraz M.-36 Sherman. Obok nich stoi pomnik generała broni Stanisława Maczka – legendarnego dowódcy 1 Dywizji Pancernej z 2005 roku oraz Pomnik Chwały 1 Drezdeńskiego Korpusu Pancernego z 2007 roku.

W Żaganiu zakwaterowaliśmy się w osiemnastowiecznym spichlerzu, w którym obecnie znajduje się hotel. Budynek o szachulcowej konstrukcji, charakterystycznej dla tego regionu, miał jeden mankament – położony był nad stawem parkowym. Za wieczorne wyjście na zewnątrz należał się medal za odwagę ze względu na ogromną ilość napastników z rodziny komarów. Gdy powiedzieliśmy o tym szefowej, to dla pocieszenia dodała, że komary to nic, bo ostatecznie do baru weszła żmija...

Dla rozładowania nadmiaru energii postanowiliśmy pojechać do odległej o 17 kilometrów Szprotawy, co łącznie dodawało naszym licznikom 34km. Widzieliśmy gotycki kościół o wyposażeniu barokowym – kościelny przyjechał z domu, żeby otworzyć go specjalnie dla nas. Był bardzo miły i pełen podziwu dla wiedzy naszego przewodnika, który był tam po raz pierwszy. Ponieważ nadal dysponowaliśmy sporym zapasem sił, to w drodze powrotnej podkręciliśmy tempo do 35km/h.

Zwiedziliśmy także najważniejsze zabytki Żagania: pałac barokowy – obecnie mieści instytucje administracji terenowej, zabytkowy park pałacowy – dawniej uważany za najpiękniejszy w Niemczech, a obecnie jest jednym z największych zabytkowych parków miejskich w Polsce. Zwiedziliśmy także najcenniejszy zabytek – zespół poaugustiański, w skład którego wchodzi niezwykle bogato wyposażony kościół z muzeum sakralnym. Jednak najciekawsza i najcenniejsza w zespole jest biblioteka klasztorna ze wspianiatymi freskami. Biblioteka słynie z doskonałej akustyki, tutejsze sklepienie jest jednym z nielicznych znanych na świecie tak zwanych sklepień szeptanych, co przetestowaliśmy na własne uszy.

Po zwiedzeniu zespołu poaugustiańskiego postanowiliśmy jeszcze zapoznać się z kolejnym motywem filmowym w trakcie naszej imprezy – miejscem, które nazwane jest Wielka Ucieczka – Stalag VIII C. W czasie II wojny światowej był to jeniecki obóz dla oficerów lotnictwa brytyjskiego i amerykańskiego. Jeńcy tego obozu wielokrotnie organizowali uciezki. Do największej doszło w nocy z dnia 24 na 25 marca 1944 roku. Ucieczka udała się 3 jeńcom, zaś 77 uciekinierów zostało złapanych. Z rozkazu Hitlera rozstrzelano 50 ujętych jeńców. Wydarzenie to doczekało się wielu publikacji książkowych i ekranizacji filmowych. W 1963r. nakręcono film „Wielka ucieczka” z Stivem McQueenem i Charlesem Bronsonem w rolach głównych, a w 1988r. „Wielka ucieczka I”, w którym główną rolę zagrał Christopher Reeve. Przy muzeum martyrologii alianckich jeńców wojennych oczywiście zrobiliśmy sobie zdjęcie.

Dzień X – 12 lipiec 2010r.

Wszystko co dobre szybko się kończy...

Wracamy do domu z dwoma przesiadkami, ale nie to było najgorsze. Na kilometr przed stacją kolejową w Żaganiu naszej koleżance pękła kasetka przerzutek i rower musiała dopchać do stacji.

Na szczęście był to jedyny poważny problem, jaki pojawił się w trakcie naszego rajdu. Poza tym nikomu nic się nie stało, nie licząc drobnych otarć, rozregulowanych hamulców, czy przebitych dętek, ale z tym łatwo można było sobie poradzić. Wspólnie przejechaliśmy ponad 600 kilometrów. Widok ośmiu rowerzystów w kaskach i odblaskowych kamizelkach, z sakwami na bagażnikach robił wrażenie, a powiewające chorągiewki PTTK wzbudzały spore zainteresowanie. Atmosfera sprzyjała aktywnemu wypoczynkowi, a po powrocie zadowoleni turyści na myśłowickim dworcu razem planowali kolejny rajd...